

Maciej Pisarek

Gomesz – Land's End

Gomesz

Leżeliśmy na trawie. Już było ciepło jak cholera, a jeszcze cicho. Święty spokój był. Na razie. Pod językiem każdego z nas rozpuszczał się kwadracik z tekturki.

Kwasy wzięliśmy u mnie i wyszliśmy na nasz wood, co znaczy po prostu skwer, taki rodzaj parku, ot, teren zielony, dla ludu. Wyszliśmy. Marina, Dilip i ja. Marina była moją dziewczyną, Japonką, rozkochaną pierwszą i najgorętszą miłością do Anglii. Martensy na maleńkich stópkach, The Smith, ultrafeministyczne poglądy i mocne postanowienie niewracania do Japonii. If I came back, I'm a loser. Szkoda słów. Dilip z kolei w jakiś podejrzany sposób nieustannie podkreślał oczywistość swojej w Anglii obecności. Miał ojca Hindusa. Hindusa z Indii. Mieszkał jeszcze z nami Juan Pablo z Buenos Aires. Ten też się nie wybierał do domu. Ojciec nie chciał go widzieć odkąd przyznał się, że jest gejem. Ale teraz Juana z nami nie było. Bo on to co najwyżej wypijał ostrożnie kieliszek wina - kiedy tłumaczył mi nostalgię w tangach Piazzolli.

Różniliśmy się. I bardzo się za to lubiliśmy.

Leżeliśmy na trawie. Nie tylko my. Uroczy, niedzielny poranek, jeden z pierwszych naprawdę gorących dni tego lata wyrzucał z szeregowych domków dzielnicy L6 strumienie mieszkańców. Studentki z prowincji wkuwające do egzaminów, krótko strzyżonych kopaczy piłki, wietrzące się rodziny okolicznych alkoholików, gangi czarnych z dudniącymi, wielkimi magnetofonami... Zaczęliśmy odczuwać tajemnicze misterium ich ciągłego przybywania. Zauważyliśmy też, że chmury są piękne. Niestychanie. Patrzyliśmy, z rękami pod brodą, bezwstydnie rozciągnięci na zielonej trawce, jak strzępią się i bulgoczą ich żywe brzegi. Niebo nad nimi przybliżyło się i napęczniało, jak żagiel. Ktoś dmuchał w nie od drugiej strony? Trawa zaczęła tańczyć z wiatrem. A wiatr szszszuumiaaa... Wyprysły na nas miliony dźwięków.

Brody wbijały nam się w palce i napierając gigantycznym ciężarem na dłonie wbijały nam ręce do wnętrza ziemi. Nagle wiedzieliśmy wszystko o tych ludziach wokół nas: Studentki z prowincji wkuwające do egzminów, krótko strzyżeni kopacze piłki, wietrzące się rodziny okolicznych alkoholików, gangi czarnych z dudniącymi, wielkimi magnetofonami...

Dilip szedł z przodu. Prowadził nas, a przede wszystkim, w razie konieczności, brał na siebie ciężar kontaktu. Myślę, że to dlatego - ta szczerza za nas odpowiedzialność - że to on przywiózł LSD z Londynu. Że to on, kiedy udało się nam już wyrwać tę niedzielę z codzienności, zdecydował, że wyjdziemy na dwór, do ludzi. Na - zewnątrz.

Patrzyłem na pień drzewa. Ogromnego, największego. Ruszał się. Armia mrówek wędrowała do góry i na dół, niewątpliwie w jakimś celu, niemożliwie harmonijnie. Coś się szykowało. Znaleźliśmy trupa ptaka i zwariowaliśmy na chwilę. Miał zamknięte oczy i czarne skrzydła. Od tego lepiej było uciec. Uciekliśmy. Kazaliśmy zamknąć Dilipowi oczy i zaprowadziliśmy go do kamiennego lwa. Odkryliśmy go kiedyś z Mariną. Był taki niby wiktoriański - bo na skraju woodu postawili pomnik Wiktorii, niemilosienie teraz wysmarowany graffiti. Ale na kolory królowa nie mogła się z lwem mierzyć. Ten był wymalowany cały, wielokrotnie. Na jego umięśnionym ciele buchał pointylistyczny gejzer, farby musiały przeniknąć go na wskroś. Dilip nie mógł wymówić słowa. A kiedy już je wymówił, okazało się, że nie lwa, ale to, że go do niego przyprowadziliśmy uznaje za coś nieskończenie zdumiewającego.

Co z kolei było nieskończenie zdumiewające dla nas, bo przecież kolory pełzały po lwie jak zakręcona, tęczowa plama benzyny po kałuży. A za chwilę były to żywe, kolorowe robaczki. Robaczki na trzy cztery obróciły się w wir, wgryzły się w serce lwa i runęły wściekłym deszczem w głąb studni wszechświata.

Tak było. Gomesz, bo tak nazywał się kwas, rozgościł się w nas na dobre.

Lew miał już trzy głowy. Zobaczyłem, że leży na nim Dilip. A na Dilipie Marina. Zauważyłem też siebie. Że stoję z boku i patrzę. Na to. Na nich. Pomyślałem, że myślę. I otworzył się dół.

Dzień mojego wyjazdu, choć jeszcze daleki, jednak nadchodził. Zaczęły się rozterki Mariny, nie wiedziała co ze sobą, i ze mną, zrobić, i bała się. Ja też nie wiedziałem co robić, ale miałem przynajmniej programowy optymizm. Ale, z drugiej strony, wiedziałem, że Dilip jej się podoba (bo Dilip był piękny), i że ona podoba się jemu. Było mi więc dziwnie kiedy tak leżeli, jak nieżywi, na tym lwie już nie lwie. Do tego, z trzeciej strony, Marina nie chciała się ze mną kochać tego ranka (bo ja chciałem się kochać, kiedy tylko poczułem pierwsze mrowienie i smak śliny). Ale, z czwartej strony, zgodziliśmy się przecież, że pójdziemy w świat. Na kwasie. Na-zew-nątrz. I jeśli coś mnie w jednej chwili absorbowało do granic wytrzymałości, to to samo, za chwilę, gówno mnie obchodziło. Z piątej więc strony miałem to gdzieś. Za to z szóstej strony mój optymizm mógł być programowy. Z siódmej jednak, dzień mojego wyjazdu był nie do pomyślenia. A ponieważ, z dziewiątej strony, nie pamiętałem już jaka była ósma strona, więc – wyszedłem z doła. I znowu było fajnie. Tak było.

Ulice, w przeciwieństwie do parku, okazały się puste, w końcu była niedziela. Nagle stanęliśmy przed bramą.

Co nas zatrzymało? Owszem, odrzwia falowały, nity same się wykręcały, ledwie za nimi nadażała płynna kratownica z pasków blachy, na których rejestrowaliśmy każdą rysę zadaną im od początku istnienia. Od Wielkiego Wybuchu, ściślej rzecz biorąc. Mniej więcej. Owszem, struktura żelaza, którą widzieliśmy aż po atomy była ciekawa, ale w końcu - nie takie rzeczy się już widziało. Czy zatrzymało nas to, że brama, właściwie wycięta w jednym jej skrzydle furta, była otwarta? Tak po prostu otwarta, w L6, dzielnicy, w której nie można było ubezpieczyć samochodu? Podobno najbardziej złodziejskim rewirze nie tylko Leeds, ale całego Królestwa?! Nie! To nie było to. Zatrzymała nas tablica postawiona na chodniku, w pobliżu poskrzypującej z cicha furty. Nikt się nie wysiłał na czytanie. Wystarczyło, że rozumieliśmy jeden wyraz, większy od innych, sam rzucał się do oczu: CHURCH.

Na zmianę wystękiwaliśmy z siebie monosylaby oszołomienia. To było coś! Kościół na kwasie! Nieprawdopodobne! Nieprawdopodobnie, niesamowicie fucking kurwa zajebiste. Nawet Dilip nie przewidział takiej atrakcji. W końcu złapaliśmy oddech i

bez słowa, chichocząc tylko po cichutku z podniecenia, przestąpiliśmy bardzo wysoki próg.

Przedsionek. Cicho, chłodno. Mało widać, ale przyjemnie. Jak to w przedsionku kościoła. Główne drzwi, na wprost bramy, przymknięte, pokryte skorupą z dziesiątek plakatów i plakacików.

Słysząc było głosy.

Widziałem kilka takich kościołów w naszej dzielnicy. Zwykły - no, może odrobinę solidniejszy - parterowy budynek, wciśnięty gdzieś między domy, magazyny, z jakimś ledwie widocznym znakiem kultu. Każdy oddany innej, egzotycznej religii. Im bardziej egzotycznej, tym lepiej był utrzymany. Za to przed kościołami podobnymi do tych w Polsce stały tablice FOR SALE. Pięknie wyglądały te kościoły. Gotyckie, neo i nie neo, puste, niszczące, czasem wręcz wypatroszone, szarzały - a trawa wokół zieleniła się niewzruszenie. Raz tylko widziałem, że w jednym urządzili sklep z dywanami. Widocznie nikt nie chciał tego kupować.

- Co to za głosy? - zapytała Marina.

Przyglądałem się plakatom i wzrok mój spotkał się z barankiem. I już tarzałem się po zimnej posadzce umierając ze śmiechu. Płakałem, dusiłem się. Baranek z ludzką twarzą nie chciał mnie puścić. Starłem się powstrzymać śmiech, choć śmiech i tak nie mógł przebić się ze skurczoego żołądka. A tamtych dwoje już współgrało, już spadło na podłogę i tarzało się jak ja. A kiedy spotykaliśmy się wzrokiem, tortura odnawiała się z podwójną siłą. Wiliśmy się w tym przedsionku jak ryby wyrzucone na brzeg. Aż usłyszeliśmy kroki. Stukot szpilek.

Dilip zdołał wstać. Jakoś znalazłem się przy nim. Stukot dobiegał przez inne, małe drzwi, z boku tych głównych. Wychyliłem się. Między rzędami ławek pewnie zmierzała w naszą stronę czarna kobieta. Może miała cztery dychy. Może więcej, może mniej. Wysoka, gruba i zgrabna. Szczupłe w kostkach nogi, proporcjonalnie rozszerzały się w górę, do bujającej się tłustej talii. Dalej czarno odziany korpus

zweżał się, aż do pełnej, poważnej buzi w ciemnych okularach, zwieńczonej skromnie upiętą fryzurą skręconych włosów. Stąpała uważnie, pewnie, spokojnie spoglądając pod nogi. Kołysała się w sposób do końca kontrolowany, doskonały. Nadciągała...

Shit! Znowu zwinąłem się ze śmiechu.

Ciągle słychać było głosy. A mną wstrząsały drgawki spazmatycznego, dławionego rechotu. Przygryzając policzki, wycofałem się i zacząłem udawać, że oglądam plakaty i plakaciki. Kątem oka obserwowałem Dilipa, który zaświecił nagle oczami, wyszczerzył się jak idiota i postanowił przyjąć uderzenie.

I wtedy stało się coś absolutnie niezrozumiałego. Mniejsza już, że on, kiedy działanie kwasu wchodziło w fazę apogeum, w ogóle był w stanie przeprowadzić w miarę sensowną rozmowę (owszem, bełkotał chichrając co drugie zdanie, fakt, a rozmowa była krótką bardzo). Nie wiem jednak dlaczego - żeby usprawiedliwić naszą obecność w tym miejscu? - powiedział, że my to właściwie chcieliśmy tylko zobaczyć, bo jesteśmy zainteresowani, i właściwie to czy możemy... Czy moglibyśmy zobaczyć więcej?

Już widziałem jak go bierze za ucho i wyprowadza. Na kopach. Ona jednak patrzyła sobie pod nogi, płynnie, pływająco wręcz podnosząc głowę i zerkając to na Marinę, to na niego, to na mnie.

Jak mogła nie widzieć?! Nie zarejestrowała źrenic jak spodki, nie zdziwiła jej elokwencja Dilipa, otępienie Mariny? Nie zauważyła, że, niby w zamyśleniu, chwytam się pod brodę, za brodę, za twarz - mordę przecież! – żeby nie rechotać? Nie wiedziała?!

Cicho powiedziała - Wejdźcie.

Zdażyłem zapamiętać biel ścian, mroczną plamę ołtarza na wprost, dwa rzędy czarnych, biegnących przez środek słupów podtrzymujących niski strop, i surowe ławki z ciemnego drzewa. Tamta szła pierwsza, za nią Dilip, Marina i ja na końcu.

Przy pierwszym kroku wciągnąłem głęboko powietrze. Wypuściłem je przy kroku drugim, razem z resztkami śmiechu.

Tamta gdzieś zniknęła, a my rozstrzeliliśmy się w ławkach. Blisko wyjścia. Usiadłem ostatni - z lewej miałem Dilipa, z prawej Marinę znieruchomiłą na skraju ławki.

Później spojrzałem na nich dwa razy. Siedzieli, jak ja, ze spuszczoneymi głowami.

Ale teraz przez głowę przeleciał mi czarny, martwy ptak z zamkniętymi oczami. Wyleciał przez ucho i zniknął gdzieś przed ołtarzem, tam gdzie leżały one.

Z naszych ławek prawie ich nie widzieliśmy. Gruba noga, czarna pończocha, czarne buty, czarna sukienka, czarna, błyszcząca torebka obok drżącej ręki. Czarna skóra. Leżały rozciągnięte w nieforemne krzyże. I wyły. Starcze głosy płaczem wznosiły się ku niebu: "O, dzięki Panie!" "Boże, jesteś tak dobry, tak dobry...!" "Pomóż mi, pomóż mi, Panie!", "Jestem zła, jestem zła, zła, złaaa!!"

Co jakiś czas któraś podrywała się z podłogi, by za sekundę, ułamek sekundy, upaść - jak rażona piorunem, na samym początku drogi. Jak przygnieciona ciężarem głazu, zrzuconego z samej góry. A na dole, na ziemi - płacz i cierpienie ładowały w nie nowe siły. I wtedy próbowały wzlecieć znowu. Nadaremnie.

"Wybacz mi, o mój Panie!" "O dzięki Panie, dzięki, Panie...!" "Przyjdź, przyjdź, o Boże, proszę, o proszę Cię tak bardzo!" "Nie opuszczaj mnie, Panie, nie zostawiaj!"

Lament rozsadzał mi czaszkę i zabierał oddech. Wdzierał się w trzy punkciki naszych istnień, zapomniane audytorium. Kościół na kwasie. Tak było.

*

Wieczór i noc zapowiadały się równie upalnie. Ludzie ukryli się, w ciszy oczekując poniedziałku. Dzieliliśmy z nimi tę ciszę. Szliśmy powoli pustymi, teraz jakby szerszymi chodnikami.

- To było...

- Fuck! – wyrzucił z siebie Dilip. Marina pokręciła głową.

- ...to było, po prostu... niewarygodne! - nieudolnie szukałem obcych słów.

- Ja pierdołę, człowieku... - podniecał się Dilip.

- Jestem przerażona. To było straszne. Nigdy tego nie zapomnę - mruzczała Marina.

Minęła chwila zanim w moim ciągle mocno zakwaszonym mózgu słowo "scared" spotkało się z "przerażona", a słowo "przerażona" odnalazło swój sens.

- Dlaczego "przerażona"?

- To straszne, co religia robi z ludźmi...

- Fucking hell, to było wstrętne. Pierdolony Jezus Chrystus. Oni nie mają mózgów!

- Co?! O czym wy, kurwa, mówicie? O jakiej religii?

- Religia zabija ludzkie myśli, to okropne. Oni nie mają już woli... - Marina ciągnęła jeszcze ciszej i wolniej niż zwykle.

- I to jest to, co tam widzieliście? Kurwa, to jest to?! Kurwa, ja to widzę zupełnie inaczej - spojrzeli na mnie zdziwieni, do kwadratu. - Ja, ja jestem, po prostu, po prostu, nie wiem, no... Wstrząśnięty? To nie zależy od tego jaka to była religia! Nieważne nawet, czy Bóg istnieje... W ogóle nie o Boga chodzi. To, co widziałem... słyszałem... Ja widziałem...

- Są ślepe, człowieku - uciął Dilip.

- To jest ich cholerna sprawa, to jest ich religia. Dlaczego jesteś przeciw?! Nie rozumiem jak mogliście widzieć to tak! To nie to, co ci z Glastonbury - plastikowy uśmiech, szklanka soku, plus tomik Nowego Testamentu. To było wstrząsające, niesamowite. Czułem się taki... malutki.

- Malutki? Ja się czułam okropnie...

- Mówię, Bóg jest nieważny, ale...

- One nie umieją myśleć! Zabijają się. Nie masz racji - tu Marina wyjątkowo pięknie wymówiła moje imię.

- Nie, nie, nie! Ja widziałem, że... - szukałem dobrego słowa. Nie było to łatwe. Nadal byliśmy nawaleni i miało to trwać jeszcze parę godzin. A chciałem chyba powiedzieć, że ten płacz, czymkolwiek tak naprawdę był, jest, nigdy się nie skończy. Bo one wyły w końcu z jakiegoś powodu. Jakiś powód był. Szukałem tylko słowa. I już je nawet znalazłem i, pamiętam - zawahałem się.

Bo poczułem, że to jest, będzie, albo atomówka, albo nic w ogóle, psss... Albo pif, albo paf.

– Widziałem – wydusiłem wreszcie - że one wierzyły. Tak, to to! One wie-rzy-ły. – Powiedziałem i natychmiast pożałowałem.

Bo to było żałosne. Ja wierzyłem, że one wierzyły. Oni wiedzieli, że błędzą. A ja z nimi. Wiedzieli? Wierzyli, że wiedzą? Tak czy siak, byli wkurwieni. Zawsze, do dziś mnie to dziwi. Że im mniej tego boga, tym bardziej wkurwiający.

Dilip uśmiechnął się z dezprobatą i przyspieszył kroku. Podniósł z ziemi kolorowe szkiełko i spojrzał przez nie na zachodzące słońce: - To jest chore. Niech wracają nad Missisipi.

*

Zmierzchało. Gomesz odpuszczał, ale nie spieszył się.

Na drodze przed nami wyrosła podwójna budka telefoniczna, z bliźniaczymi, szklanymi kabinami.

- Słuchajcie! Niesamowite! Macie coś do pisania? - Wpadłem do budki i, myląc się ze trzy razy, spisałem numer aparatu na paczce papierosów.

- Marina, wejdź tu. Zadzwoń do ciebie.

Dilip był zszokowany.

- Co? Zadzwoń?! Zadzwoń... Zadzwoń... Może ludzie stąd dzwonią na drugi koniec świata, a ty zadzwonisz do niej tu obok?!

Próbował to rozwikłać, nie umiał. Marina weszła już do jednej kabiny, ja do drugiej. Zacząłem wybierać numer. Bezustannie się myląc.

Land's End

W Plymouth przeprawialiśmy się promem przez zatokę i mimo chłodu wyszliśmy z samochodu, żeby popatrzeć na światła statków zlewające się z gwiazdami na atramentowym niebie. Na drugim brzegu był już ostatni kawałek zachodniej Anglii, Kornwalia.

Mrok zapadł tak szybko jak szybko kończyło się lato. Pędziliśmy dalej, nocą, wąskimi, ciemnymi szosami, starając się nie zgubić drogi do East Looe, tej drobinki na mapie. Po raz tysięczny słuchaliśmy "The Good Son" Cave'a.

Nie wiem jakim cudem znaleźliśmy hotel starych Johna. Ulica, przy której się znajdował była w istocie starym jak świat chodnikiem wyżłobionym w urwisku, do którego poprzyklejały się domy. Jeździło się tam tylko w jedną stronę, bez odwrotu, stromizną pod kątem 45 stopni. Hotel był czysty, schludny i kiczowaty. Przybrani rodzice Johna uśmiechnięci, serdeczni i mocno przestraszeni. Bardzo żalowali (niestety, mamy komplet, tak nam przykro, może innym razem, serdecznie zapraszamy - et cetera, jak to oni mówią). John nie był tym przejęty. Mieszkał na samej górze. Mieszkał, a właściwie - miał pokój. Pokój hotelowy z łazienką. Czysty i schludny. Z telewizorem (nie trzeba było wrzucać monety).

Wykąpaliśmy się i siedzieliśmy zerkając w telewizor. Na chwilę zrobiło się nawet fajnie w tym pokoju Johna, gdzie do Johna należał tylko John. Musieliśmy iść. Stanęliśmy przed hotelem. Byliśmy gdzieś w środku tajemniczej dolinki, pogrążonej w nocy, pełnej świateł i muzyki z pubów. Czuć było morskie powietrze. Najniżej płynący strumień świateł drgał leciutko na wodach rzeczutki od tysiącleci szukającej swej drogi do bliskiego morza. A jednak Marina zaczęła swoje humory. Noc w samochodzie na parkingu ją dobiła. A mogła to być taka fajna noc.

Następny dzień uratowała mewa. Wczesnym rankiem usiadła na przezroczystym dachu naszego Uno i Marina mogła jej zrobić zdjęcie. Pstryk - i już było lepiej. Poza tym rzeczka zmieniła się w strumyczek. Dziesiątki zaskoczonych jachtów niezgrabnie osiadło w mule bezsilnie łopocząc żaglami. Odpływ. Morze było bliżej niż myśleliśmy. Nie płacąc, szybko zmyliśmy się z parkingu. Potem jakaś plaża w Looe, jakiś nieobecny John. Łódek jak kaczek i rozwrzeszczane hordy bachorów.

Ale w drogę. Wsadzamy Johna na tylne siedzenie i pędzimy przez jakieś wiochy, zielone łąki pogrodzone kamiennymi murkami, małe śliczne porty otoczone nibyśródziemnomorską architekturą.

Land's End, ostatnie piórko na ogonie kaczki jaką jest podobno Wielka Brytania, wymyśliliśmy sami. Na mapie wyglądało ciekawie i myśleliśmy, że po prostu przyładek, że fajnie znaleźć się na samiułtkim końcu wyspy. Tymczasem już co drugi pub miał w nazwie Land's End i w ogóle - coś pocztówkowego wisiało w powietrzu. Ale był to tylko helikopter. Nic nie zapowiadało końca świata.

Nagle droga wybiegła na otwartą przestrzeń, asfalt rozwinął się jak rzucony rulon chodnika, wprost do stadka białych budynków. Po bokach, jak okiem sięgnąć, niebo ostro łączyło się z ziemią. Zahamowaliśmy dopiero przy bramce gdzie płaciło się za wjazd. Wysiedliśmy, ominęliśmy knajpy i sklepy z pamiątkami. Tutaj było jeszcze pocztówkowo, ale już czuliśmy co się święci. Biegliśmy patrząc pod nogi, trochę z ostrożności, bardziej z wyrachowania. Za chwilę rwaliśmy ścieżyną wijącą się po skałach, przelecieliśmy mostek wiszący nad przepaścią, wspięliśmy się po głazach i wreszcie - dalej się nie dało. Teraz dopiero podnieśliśmy głowy. Usiedliśmy.

Na niebie błąkały się ze dwie czy trzy chmurki i helikopter pełen turystów chcących zobaczyć z góry ukrojone jak tort nabrzeże; z zieloną trawką na wierzchu i kilkudziesięciometrowym spadkiem nagich skał w fale oceanu.

Nie myśleliśmy o niczym. Siedzieliśmy na wysokości, odwróceni tyłem do wszystkiego. Gdzieś się schowały humory Mariny, punkowa fryzura Johna spokojnie powiewała na wietrze. Słońce rozgrzało skały, wysuszyło żółte i zielone mchy. Można się było wyciągnąć. Gdzieś daleko, na falach, wypiętrzała się skała, na której postawiono latarnię morską. Stąd wyglądała jak joint postawiony na sztorc, była tylko i wyłącznie punktem odniesienia w przestrzeni gdzie nic nikomu nic nie zasłaniało.

Powtórzę: Nic nikomu nic nie zasłaniało.

Zapaliliśmy jointa. Przestaliśmy gadać, bo przecież od samego początku nie było o czym. Pod nami huczały fale rozbijając się na poszarpanych głazach. Można by się było rzucić jakby kto chciał. Tylko po co? Ocean, spokojny (choć Atlantyk) wypięął się łukiem na horyzoncie. W życiu nie widziałem nic większego.